



Łukasz Cieślak

Nie dajmy się zwariować

Od jakiegoś czasu jesteśmy widzami przedstawień, na które mało kto z nas kupił bilety. Nie siedzimy też na teatralnej widowni, ale przed ekranami telewizorów i komputerów, w fotelu trzymając gazetę. Aktorzy tego przedstawienia są nam bardzo dobrze znani i w zasadzie wiemy, czego się po nich spodziewać, a jednak zerkamy na scenę.

Fabuła to konflikt na linii my-oni. Z tym, że „oni” to nasz wróg, nasz wspólny wróg, którego kilkoro bohaterów różnymi sposobami będzie chciało pokonać. Najlepiej, żeby wróg był kimś obcym – nie bez kozery diabeł jest Niemcem w powieści „Mistrz i Małgorzata” Michaiła Bułhakowa. Zatem mamy obcego-wroga i zdrowe siły wspólnego frontu naszych bohaterów.

Uważny widz zapyta, dlaczego nasz obcy-wróg jest wrogiem. I tu otrzymamy całą litanię przyczyn. Wróg nasz: dybie na cywilizację łańską (czemu nie dybie na chińską, zapyta widz), chce seksualizować nasze dzieci (czy uczenie dzieci ułamków to ułamkizacja dzieci, zapyta znów widz), uważa, że kobiety i mężczyźni powinni mieć równe prawa (co w tym złego, zdumiony widz spyta), chce zniszczyć tradycyjny model rodziny (czyż sto lat temu „tradycją” nie było posiadanie kilkunastu dzieci, czy tradycją nie było wydawanie córek za mąż wbrew ich woli, spyta widz), chce oddawać dzieci parom gejowskim (czy nie lepiej zając się tym, żeby pary hetero swoich dzieci nie porzuciły, podsunie uważny widz).

No i największy zarzut: nasz obcy-wróg nie lubi Pana Boga, więc my powinniśmy nie lubić naszego obcego-wroga.

Całkiem straszny ten nasz wróg, gdyby nie to, że zupełnie nieprawdziwy. Prawdziwi są za to aktorzy, którzy usiłują zdobyć naszą uwagę, stawiając się na pozycji obrońców wartości, cywilizacji, religii, tradycji itd. Obrońców samowolnych dodajmy i takich, którzy nie potrafią nic poza krzykiem i manipulacją. Dlaczego? Przecież to jest teatr, a więc scena nie może być pusta, nie można na scenie mieć wątpliwości. Scena nie toleruje wahania i pytań.

Patrząc na taki spektakl nie mam wątpliwości, że nie chodzi ani o teatr, ani o żadne z rzekomych zagrożeń. Tym bardziej nie chodzi o „debatę naukową”. Również Bóg, Kościół i wiara mają z tym niewiele wspólnego. Chodzi wyłącznie o politykę. „Nie działają na wyborcę argumenty socjalne, nie za bardzo znamy się na pieniądzach z Unii Europejskiej? Znajdziemy inny temat... A że nic tak nie łączy ludzi jak wspólny wróg? Tym lepiej”.

Myślę o tym wszystkim z coraz większym zdumieniem, że pozwalamy sobie sączyć jad wrogości i dajemy się wciągać w jałowe w gruncie rzeczy „spory”. Z łatwością przyjmujemy slogany i ulegamy urokowi tego teatru. Może zamiast tego warto czasem powiedzieć „nie dajmy się zwariować”?